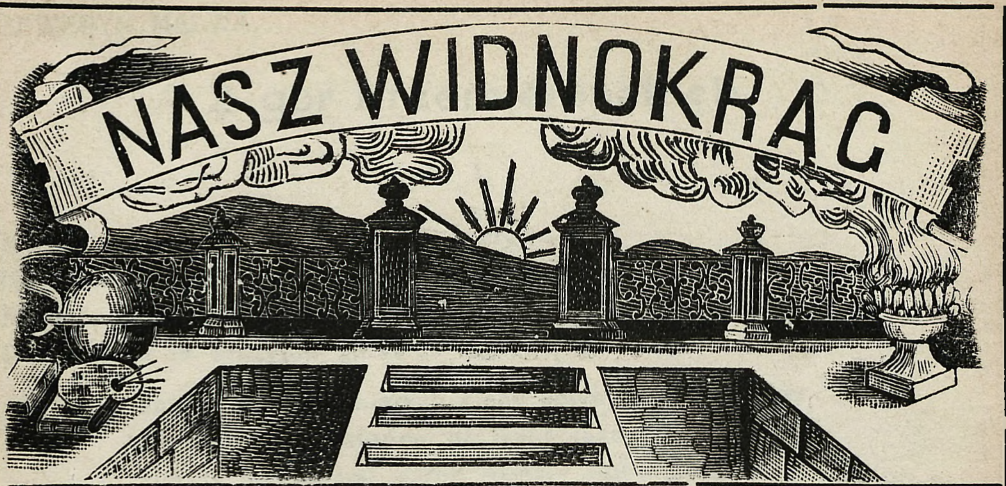
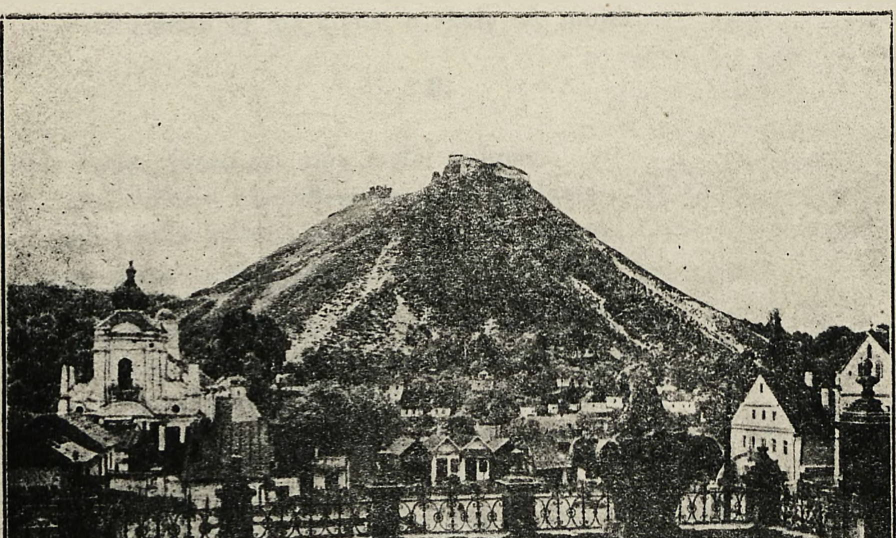
Rok II. Krzemieniec, Jesień 1927. **Nr. 4.**



Kwartalnik krajoznawczy ilustrowany

Organ Kółka krajoznawczego Młodzieży Liceum Krzemienieckiego im. D-ra Wilbalda Bessera.



Widok z przed kościoła licealnego na górę Królowej Bony.

SEWERYN MALWA.

Z gór krzemienieckich.

I.

Słońce kona... już z jarów opada pokrywa,
Mgłą siną zaczynają dymić, jak sagany...
Na widnokrąg daleki, woalem zasłany
Dusza moja ze szczytów górskich się porywa.

Już za chwilę zmierzch cichy spłynie nad moczary
I ostatnie skry słońca, na lkwie zagasi,
Uciszy nad jarami wśród brzezin śpiew ptasi
I na drzewa zielone, zarzuci płaszcz szary...

O ziemio cicha, senna, słońcem wyzłocona
O skały me, błyszczące, jak cerkiewne kule,
W czerwonych blasków słońca ubrane zawoje.—

Kocham ja was!... ogromne rosną mi ramiona
Do piersi was przyciskam, do serca was tulę...
O ziemio ty ma cicha! o skały wy moje!...

II.

Owinęła mnie płaszczem sina mgła zadumy...
Wiatr cicho suchem skrzydłem szeleści po lesie
I na falach swych lekkich mą duszę w dal niesie
Tam gdzie mnie lip strzelistych kołysały szumy...

Zleciał żal na pierś moją i szarpie w kawały,
Tępy ból ujął duszę w cierniowe opłoty...
Tylko wiatr nuci cicho legendę tęsknoty,
W pomroku fjoletowym zadumana skały...

O zimne ściany moje! .. do was się przetulę
Ze stromych złomów w jary będę ciskał głazy
Niechaj giną w otchłaniach z piekielnym chichotem.

A może zgrzyt ich zgłuszy mego serca bóle
Może duszę osłoni, w którą płyną razy?
A gdy przebrzmią rumoty?... gdy przebrzmią?... cóż potem?...

M. GUSŁAWSKI.

Wycieczka krajoznawcza do Kazimierza nad Wisłą

(Dokończenie)

Przy wjeździe do miasta od strony przedmieścia Gdańskiego zwraca uwagę każdego turysty wspaniałą swą strukturą kościół parafjalny. Fundację tego kościoła na miejscu zniszczonego pożarem Kazimierzowskiego przypisują możnej rodzinie mieszczańskiej Przybyłów, która jej dokonała w r. 1591. Przebudowano go następnie w r. 1613 a ambonę przepięknej konstrukcji z drzewa wykończono w r. 1615. Ogromne i śliczne organy wykonano z modrzewia włoskiego, koloru naturalnego w r. 1620. Kościół stawiał, jak o tem świadczy napis: „Jacobus Bolinitafius murararius Lublinensis". Wewnątrz świątynia przedstawia się nadzwyczaj wspaniale. Wysokie sklepienia, zdobne w bogate gzymsy, żebra i gipsatury, wznoszą śmigłe swe stropy ku niebu.

Piękny wielki ołtarz z dobrze malowanym obrazem, przedstawiającym męczeństwo św. Bartłomieja, oraz obrazem św. Kazimierza, znajdującym się w górze, mieści się we wzniesionym o parę stopni prezbiterjum. W nawie głównej zasługuje na uwagę prócz ambony świecznik, ozdobiony głową jelenia. Bardzo ładne są też boczne kaplice, zwłaszcza pierwsza, po lewej stronie kościoła. Wejście do tej kaplicy prowadzi przez pięknie rzeźbioną arkadę. Kaplica wewnątrz posiada ołtarz; ozdobiona jest prawym, pierwszym filarem nawy, który miał być przeniesiony ze starego kościoła w Skowierzynie. Obie ściany kaplicy mieszczą historyczne malowidła, z których pierwsze po prawej stronie przedstawia króla Kazimierza, trzymającego do chrztu dziecię kmiotka, drugie zaś, po lewej szlachtę polską podczas podniesienia, wydobywającą szable na znak, że jest gotowa bronić ewangelji.

Dalej znajduje się kaplica t. zw. „Wodna", ufundowana przez rybaków. Ołtarz malowany na ścianie, przypomina podobne ołtarze w katakumbach pierwszych chrześcijan. Po prawej stronie mieści się kaplica Borkowskich, fundowana przez Elżbietę Borkowską w 1610 r. Ławki tu stojące są tej samej roboty, co i ambona, mają bardzo bogate desenie

arabeskowe.

Nagrobki mieszczan i rajców Kazimierskich, oraz kamienna chrzcielnica, znajdujące się w kościele, jako zabytki sztuki nie mają już wielkiej wartości.

W prezbiterjum leży książka do wpisywania nazwisk zwiedzających, dzięki której nie spotyka się napisów na ścianach, ołtarzach. murach, nietylko szpecących, ale w barbarzyński sposób niszczących zabytki.

Od kościoła stromą ścieżką wspinamy się do ruin niegdyś wspaniałego zamku królewskiego...

Wielki budowniczy wzniósł go na szczycie wzgórza, nad samem miastem. Za materjał budowlany na ten cel posłużył wyborny i trwały wapniak z pobliskich okolic, a białe jego kontury pięknie harmonizowały z zielenią bujnej roślinności wzgórza. Zamek nie był zbyt obszerny, bo mieścił tylko 4 pokoje na parterze i 4 na piętrze. W jednym z nich była umieszczona kaplica. Odnawiany parokrotnie, dotrwał on do pierwszej wojny szwedzkiej, lecz w roku 1656 został przez Szwedów zburzony i począł zupełnie rozpadać się w gruzy.

August II rozpoczął jego naprawę, chcąc mieć punkt oparcia przeciwko Szwedom: ale nie doczekał się końca tej restauracji, bo zamek został znów zdobyty przez wojsko Karola XII-go.

Starostwie grodowi nie dbali o utrzymanie i naprawę zamków, nic też dziwnego, że te ostatnie nie mogły się dzwignąć z ruiny. Stojąc w oknie zamkowym, ogarniamy wzrokiem rozległą i piękną panoramę miasta: kościół farny, rynek, klasztor reformatów, ruiny śpichrzów, tonące w zieleni sadów Krakowskiego przedmieścia, dalej wzgórza Janowca z ruinami zamku Firlejów, z 15 wieku, w stylu włoskiego renesansu i bielejący tam kościół w stylu staro-nadwiślańskim.

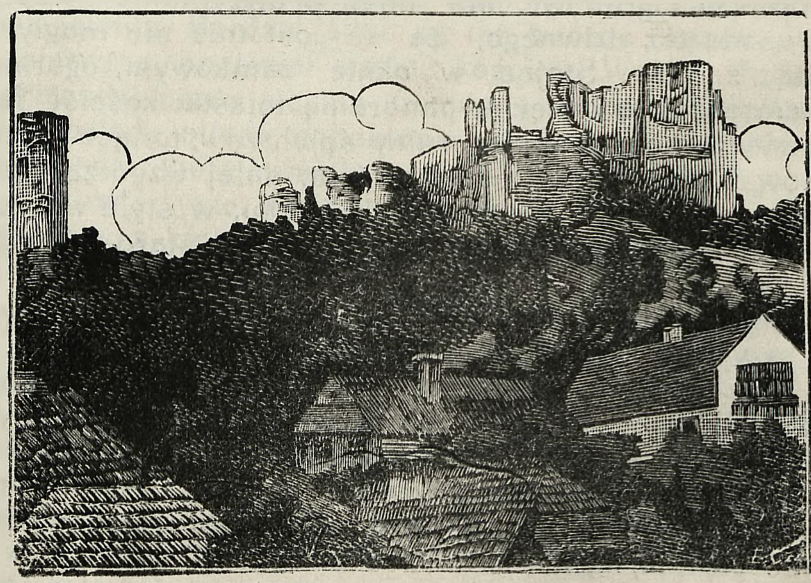
Widok to niezwykły i pełen powabu. Jednak, gdybyśmy mogli przyjrzeć się Kazimierzowi pół tysiąca lat temu, gdy rynek wrzał życiem, gdy Wisłę przerzynały statki, czekające na ładunek, lub dźwigające już zboże sandomierskie, gdybyśmy na tło tego krajobrazu, zamkniętego w ramy odwiecznych puszcz rozrzucili owe fantastyczne, barwne i ruchliwie postacie średniowiecznego mieszczaństwa, obraz ten byłby tysiąckroć piękniejszym.

Za zamkiem wyższe jeszcze wzgórze wieńczy wyniosła.

samotna baszta. Prawdopodobnie służyła ona początkowo za strażnicę, a płonący na jej szczycie ogień stanowił latarnię dla płynących po Wiśle statków.

Jest zbudowana z miejscowego wapniaka, ma 26 m. obwodu, a wejście do wnętrza znajduje się dopiero na wysokości pierwszego piętra. Dolna jej część prawdopodobnie służyła w dawnych czasach za więzienie. Nawet podanie twierdzi, że w tej baszcie zginął głodową śmiercią Maćko Borkowicz, jednakże to samo mówią o baszcie zamku w Olsztynie i Chęcinach. Godną uwagi jest także najstarsza i najwspanialsza budowla renesansowa przy ulicy Senatorskiej. Jest ona stanowczo wcześniejsza od kamienic w rynku i bez porównania więcej artystyczna.

Bogate desenie i rzeźby zdobią każdy kawałek ściany, w pięknych muszlowych niszach stoją posągi świętych. Futryny okien plotą się w prawdziwie piękne zwoje roślinne. Attyka nad piętrem, przypominająca Sukiennice, ratusz sandomierski lub Szydłowiecki, rwie się ku niebu strzeliście a fantastyczne paszcze potworów zajadle otwierają się naprzeciw siebie. Dom ten, niestety, znajduje się w jak największej ruinie, rzeźby odpadają, z dachu szczątki, a okna zabite deskami. Paru przymierających nędzarzy wiedzie za rzeźbioną ścianą swój marny żywot. Podobno Towarzystwo



Ruiny zamku w Kazimierzu Dolnym.

Ochrony Zabytków Przeszłości wykupiło go celem urządzenia muzeum.

Przez miasto sączy się strumień Grodarz albo Stokowy Przez swe malownicze położenie nad brzegami rzeki, na wzgórzach z licznemi i dobremi spadkami, mimo mało przepuszczalnej gleby, Kazimierz, jako miejsce klimatyczne, ma duża przyszłość przed sobą, tembardziej, że mimo wytrzebienia lasów w okolicach i w samym Kazimierzu, jest jeszcze dużo drzew iglastych, którym sprzyja ziemia nadwiślańska. Powietrze czyste, świeże i wielka obfitość źródeł górskich ściągać będą coraz to więcej turystów.

W takich warunkach Kazimierz powinien się stać w niedalekiej przyszłości jednem z najpiękniejszych miast a zarazem miejscowością klimatyczną w Polsce.

WŁODAN.

Uroczystości ku czci J. Słowackiego

W KRAKOWIE.

Była już północ. Pociąg niósł nas, zdawało się, w nieskończonośc. Czasem tylko migały w oknach wagonu światełka, a potem robiło się jeszcze ciemniej i wzrok tonął w czarnych czeluściach nocy. Rankiem znaleźliśmy się we Lwowie, a w parę godzin później, koło Przemyśla, oglądaliśmy już faliste wzgórza najdalej na południe sięgającego Podkarpacia. Około godziny 5-ej po poł. ujrzeliśmy zarysowywujące się w błękitach strzeliste wieże kościołów i klasztorów krakowskich. Każdy z nas odczuwał niewymowny urok tego miejsca, a jeszcze bardziej oczekiwał na mającą się odbyć uroczystość.

Tymczasem pociąg zatrzymał się przed dworcem, przepełnionym gośćmi, zjeżdżającymi się na jutrzejszą uroczystość. Z wielkim trudem przecisnęliśmy się do salonu recepcyjnego, gdzie w imieniu komitetu Wawelskiego powitał nas p. Rojek.

Harcerze krzemienieccy wzięli urnę z ziemią z grobu matki poety (którą przez cały czas podróży opiekowali się) i skromny nasz orszak skierował się ku „Muzeum Narodowemu". Czerwcowe słońce zalewało światłem całe miasto, zapowiadając piękną pogodę na dzień jutrzejszy. Zostawiwszy urnę w Muzeum, udaliśmy się do wyznaczonych nam kwater.

Nazajutrz, po należytym wypoczynku, korzystając z czasu udaliśmy się do Wieliczki, skąd powróciliśmy dopiero przed wieczorem. O godzinie 8-ej miały przybyć prochy Słowackiego do Krakowa.

Na ulicach śródmieścia było nadzwyczaj gwarno a liczba gości wciąż wzrastała.

Miasto przybrało na się szatę bardzo uroczystą, strojąc swe domy pięknie i bogato. Zmrok już zapadał, gdy, zabrawszy urnę, wyruszyliśmy na wyznaczone nam miejsca. Harcerze odnieśli urnę do Barbakanu, gdzie pozostała do dnia jutrzejszego.

Na spotkanie Juljusza wyszło całe miasto. Delegacje ze wszystkich ziem polskich i miejscowa ludność stanęły szpalerem, pomiędzy którym za chwilę przejść miał orszak pogrzebowy.

Dziwne uczucie dławiło nas na widok tego, co się stało. Wygnaniec, tulacz wieczny i męczennik wraca do swego ojczystego kraju, do swych współbraci, którzy godnie dziś go przyjmują. To nie smutek zapanował po Jego stracie, bośmy Go nie stracili—to triumf, to radość przepełnia wszystkie serca. Gwar dookoła... Tysięcznem stłumionem echem odbija się i znów wraca. Co chwila wszystkie oczy zwracają się na lewo a jedni drugich pytają, czy jeszcze nie jedzie. Zmrok zupełny już zapadł, zapalono iluminacyjne światła.

Cudownie wyglądało miasto, ubrane kwieciem, w swietle lamp. Naraz na dworcu ozwały się syreny zwiastując, że pociąg z prochami poety już się zbliża.

Nastąpiła długa chwila wyczekiwania. Wszyscy ucichli, tylko policjanci chcąc utrzymać ład, powiększali zamieszanie. Lecz w tej chwili zagrzmiały armaty na powitanie wracającego do kraju Tułacza. Skupieni, liczyliśmy wystrzały jeden po drugim a potem liczyliśmy już i sekundy, dzielące nas od przybycia Wieszcza.

Nagle szmery milkną i dochodzi tylko do nas głos: już, już. Patrzymy... i oczom naszym ukazuje się prawdziwie

przecudny obraz. Na białych, olbrzymich, jak gdyby z marmuru wykutych koniach jedzie ośmiu trębaczy, za nimi poczty sztandarowe, chorągwie delegacyj... I idzie orszak wolnym krokiem, w półmroku zielonawego światła, przesuwają się przed oczyma rycerze a za nimi ukazuje się trumna ze zwłokami Juljusza. Nastąpiła wtedy chwila, której nigdy, przenigdy nie zapomnę. Na widok skromniej czarnej trumny wszyscy zastygli w bezruchu, jakby skamienieli. Zdawało się, że Król Duch unosił się nad trumną, i serca wszystkich zabiły mocniej, pochyliły się mimowolnie głowy przed Majestatem Wolnego Ducha. A cisza była taka, że słyszałem bicie swego serca, i pieśń liści zielonych, trącanych lekkim podmuchem wiatru. A orszak się nadal posuwał Po chwili trumna znikła we wnętrzu Barbakanu, a my jeszcze staliśmy na swoich miejscach. Wreszcie i tłumy ruszyły w stronę Barbakanu, by przedefilować obok trumny, choć była to sprawa nie tak bardzo łatwa. Uniesienie było tak potężne, że przez całą noc Barbakan był otoczony tłumem. Kogo tam nie było! Ubogi wynędzniały rzemieślnik lub wieśniak, pracujący całe życie na roli cisnął się narówni z urzędnikiem, dzieci chciały zobaczyć trumnę poety narówni ze starszymi.

Nazajutrz miasto zbudziło się ze snu bardzo wcześnie. Lecz nasrój już nie był taki, jak wczoraj. Niebo zachmurzone już się nie uśmiechało; co chwila potok łez zraszał miasto. Na dusze nasze spadł smutek i żal, że na obczyźnie dalekiej oddał ducha Bogu najlepszy syn Polski, największy Jej bojownik.

Zabrawszy urnę z Barbakanu, zajęliśmy wyznaczone nam, przed samą trumną miejsce w pochodzie. Tymczasem delegacje posuwały się już w stronę Wawelu. Cała Polska przybyła na drugi pogrzeb Poety; nikogo tam nie brakło. Widzieliśmy wśród delegacyj Górali, Ślązaków, Kaszubów, młodzież szkolną, wojsko, przedstawicieli rzędu, delegacje włościańskie z różnych stron Polski, delegacje cechowe, związki gimnastyczne i wiele, wiele innych.

Na skrętach ulic orszak się zatrzymywał, rozpoczynały się przemówienia, śpiewy chórów, których jednak prawdopodobnie nikt nie słuchał.

Deszcz wciąż padał a my szliśmy wolnym, prawdziwie pogrzebowym krokiem.

Wnet zahuczał spiżowym głosem, smutny dzwon Zyg-

munt, zawtórowały mu inne i rozlał się ten dźwięk daleko, daleko, po kraju.

Wreszcie i dzwon umilkł; znaleźliśmy się na dziedzińcu zamkowym. Na krużganku przystrojonym dywanami ukazał się MARSZAŁEK JÓZEF PIŁSUDSKI i w pięknych słowach pożegnał prochy Wieszcza.

Po uroczystej przemowie P. Marszałek zwrócił się do wyższych oficerów ze złowami: „POLECAM PANOM ZANIEŚĆ TRUMNĘ Ś. P. JULJUSZA SŁOWACKIEGO DO PODZIEMI—BY KRÓLOM BYŁ RÓWNY". Nastąpiły krótkie modły i kazanie, poczem trumnę wniesiono do podziemi. Huk armat znowu wstrząsnął posadami zamku a stary Zygmunt długo, długo, żegnał Króla Ducha.

Wieczorem część nas pożegnała Kraków, udając się do Tatr, reszta zaś, na drugi dzień wróciła do Krzemieńca.

W. M.

Łocego zydy sperki nie jedzo.

Beło to juz bardzo downo, ze nawet najstarsi ludzie nie pamiętajo.

Wędruwoł Pon Jezus po świecie a za nim sły chmary norodu, jakby te kumpanije, co kazdy jesini ciągno do Częstochowy.

Miało sie juz dobrze na przypołudnie i por beł taki okropecny, jakby zywy ogiń z nieba lecioł.

Pon Jezus, miarkując, ze juz nie wydoli, usiod se na kaminiu przy rzyce, zeby se choć kapecke odzipnąć.

Obstąpili ci Go zaroz zydy, bo ze to sabat beł za pasem, to ich sie ta nie mało kręciło kole rzyki, ten i ów chcioł sie choć troche ocharuzić na święto, a beła i niejedna zydowica, co bechora w nieckach płowiła.

No, i obstąpili Pana Jezusa. jakem, powiedzioł i dali Go sie dopytuwać a doświorcać, a wszystko poto, zeby Go na cym złapać—nie beły by to zydy!

Pon Jezus se z tego nic nie robił, choć ta moze nie beł rod, ze Mu nawet obchu nie dadzo, ino co rusynie pyta-

jo Go to o to, to o tamto.

Aż ci tu podchodzi do Pana Jezusa stary brodoc, niby ten Jojna z Indrzejowa, z zacerwinionemi ślipskami (pewnie se ich juz downo nie pociroł macom ze krwiom krześcijanskom) i godo do Niego:

No, Ty, jakeś taki prorok, to powidz-ze mi, co jes pod temi nieckami, co tam ono lezo kole rzyki?

Wszystkie zydy patrzajo się na Pana Jezusa, a Un, nie wiele myśląc, godo prosto z mosta:

Świnia.

Jak ci sie tyz psie pary wtędyk nie zerwio do Pana Jezusa (bo dobrze wiedziały, ze tam jes przykryło zydowica) jak nie zacno wrzescyć: Toś Ty taki prorok?...

Pokozta no Mu, co tam jes za świnia!

Leco, odkrywajo a tu wyłazi z pod niecek tako wielgaśno maciora i dali se rechtać:

Hrtyk, hrtyk, hrtyk!

Wtędyk te wszystkie zydy w derdy i pouciekały, a Pon Jezus se posed dali. Zaś od ty pory zoden zyd sperki do gęby nie weźnie, bo to trefne, jako, ze świnie z zydoskiego rodu pochodzo i jak sie to mówi: „Świnia jes zydoskom ciotkom".

(Piaski, pow. jędrzejowski, kieleckie).

W. D.

Przysłowia ludowe.

Z każdą chwilą dawne zabytki naszego narodu zanikają. Zwłaszcza ostatnie dziesięciolecie t. zn. okres po wojnie światowej, przyczyniło się w wielkim stopniu do zaniku dorobku duchowego naszego narodu.

W największym stopniu przechowały sie ślady kultury pierwotnej u tego ludu, który najmniej zetknął się z cywilizacją i który, mieszkając w zapadłych zakątkach nie ulega wpływowi nowych prądów.

Polesie i północna część Wołynia jest właśnie taką kr. iną, gdzie dopiero—co zaczyna przedostawać się cywilizacja, gdzie więc do dziś dnia dużo ciekawych rzeczy można się od ludu nauczyć. Jednak i tu trzeba się śpieszyć...

Najwięcej dotychczas jeszcze zachowało się dawnych przypowieści gospodarskich, więcej lub mniej trafnych. Są one wynikiem długoletniej obserwacji nad życiem ludzi, zwierzętami, roślinami i nad zjawiskami atmosferycznemi, gdyż te wiadomości były dla człowieka niezbędne.

Przedewszystkiem te przypowieści mówią nam o pewnych miesiącach, lub dniach, szczęśliwych, lub nieszczęśliwych dla robót polnych i innych zajęć. Większość tych przypowieści jest trafna, gdyż opiera się na długoletniej obserwacji i dlatego to lud po dziś dzień im wierzy a co więcej nawet, oburza się, gdy ktoś zaprzeczy ich prawdziwości.

Przypowieści takich jest bardzo dużo na każdy prawie dzień w roku. Jednakże, nie wszystkie one są dorobkiem duchowym mieszkańców danej okolicy. Na Wołyniu spotyka się przypowieści znane i w innych dzielnicach Polski, a to dzięki temu, że podczas wojen nastąpiło zmieszanie się mieszkańców różnych ziem i wskutek tego zwyczaje uległy pewnym zmianom. Wspólne dla więcej dzielnic są jeszcze w większym stopniu spostrzeżenia nad pogodą.

Poniżej umieszczam kilkadziesiąt takich przysłów zebranych w pow. kowelskim, zwłaszcza we wsi Piaseczno. Zacznijmy przegląd od Bożego Narodzenia, gdyż spostrzeżenia z tych świąt są, według mniemań ludu, najbardziej wartościowe.

1. Koły na Rizdwo deń bude jasnyj, to bude urożaj.

2. Koły na sw. Tryfona (14 lutego) nicz zwizdna to bude wesna pizna.

3. Jak pryjde misiać mareć, to szcze zmerzne ne odyn stareć.

4. Do Błahowiszczenia (7 kwietnia) zymy ne łaj i sanej ne chowaj.

5. Jak april z wodoju to maj z trawoju.

6. Koły żaba kwacze, a owes skacze — sady kartoplu.

7. Jak maj, to szcze korowi sina daj.

8. Koły maj chołodnyj, to bude rik chlibrodnyj.

9. Juryj (6 maja) wesnu naczynaje a Ilja lito kinczaje.

10. Koły na Jowa (19 maja) wełyka rosa, to bude ohirkiw nosza.

11. Do Mykoły (22 maja) ne sij hreczki i ne stryży oweczki.

12. W czerwniu najbilsze czerwy.

13. Koły na Petra (12 lipca) doszcz, to bude sinokos

mokryj i nekepśkij.

14. Wid Spasa (19 sierpnia) bery rukawyci do pasa.

15. Koły na spasa (19 sierpnia) busły odłetiat' to chołodna oseń.

16. W oseni i horobeć bohatyj.

17. Chto rano sije, toj i ne żalije.

18. Pryjszła Preczysta (21 września) bude i w sadach czysto.

19. Chto ne zasijaw do Bohosłowa, (9 października) toj ne wart dobroho słowa.

20. Jak pizno z derew łystia opadaje to bude rik tiażkij.

21. Do Dmytra (8 listopada) diwka chytra, bo zamiż chocze.

22. Hrudeń zemlu hrudyt' a chatu studyt'!

23. Hrudnewe tepło jak maczuszyne dobro.

24 Św. Andriju (13 grudnia) ja tobi lon siju; daj że meni znaty, z kim ja budu toj lon rwaty.

25 Swiata Warwara (17 grudnia) kawałok noczy urwała.

Są to, jak widzimy, przeważnie przestrogi i nauki dla rolnika, połączone z jego codzienną pracą.

WŁODAN.

Wspomnienia z wakacyjnych wędrówek.

30 czerwca.

Znajdowaliśmy się na pokładzie „Gniezna"... srebrna woda Wisły lśniła się daleko przed nami i za nami. Kraków zostawał w tyle. Gwar na brzegach wciąż przycichał, aż wreszcie jechaliśmy śród pol. Zelenią pokryte brzegi przesuwały się przed naszemi oczyma, dalej widniało pofałdowane Podgórze.

Po godzinnej jeździe minęliśmy Bielany malowniczo rozłożone na stromym i gęstym lasem pokrytym brzegu. Ponad lasem i wzgórzami wznosił się dominujący stary klasztor.

W tem miejscu Wisła zatacza olbrzymi zakręt w kształ-

cie litery S, po opuszczeni którego zauważyliśmy mury klasztoru tynieckiego.

Skalisty, stromy lewy brzeg Wisły uwieńczony ruinami klasztoru wznosił się tuż nad naszemi głowami.

Wysiedliśmy na brzeg. Krętą i stroma scieżką przedostaliśmy się na podwórze klasztorne ogrodzone starym murem.

Staliśmy na ziemi która była świadkiem wielkich czynów i wielkich chwil naszej przeszłości. Karta dziejów Tyńca rozpoczyna się od czasów Bolesława Chrobrego, który wraz z żoną ufundował kościół św. Piotra i Pawła i nadał go Benedyktynom. Bogato uposażony przez tegoż Bolesława (100 wsi i 5 miast) klasztor zaczyna się szybko rozwijać i staje się źródłem wiary i cywilizacji dla całego kraju.

Jednak nadeszły gorsze chwile, bo w 1260 r. Tatarzy burzą klasztor i dopiero opat ks. Stanisław Lubieński wybudował nowy kościół w r. 1622 r. W 1655 r. Szwedzi zdobyli Tyniec i zburzyli go tak, że zakonnicy musieli uciekać do Węgier.

W końcu XVIII w. rząd zabiera dobra klasztorne, w 1815 zgromadzenie Benedyktynów zostaje skasowane a klasztor oddany Jezuitom.

Do ostatecznej ruiny przyczyniło się uderzenie pioruna (r. 1824 2 maja) które klasztor ciężko zrujnowało. Odtąd dawny klasztor staje się kościcłem parafjalnym.

Jednakże dziś z tych starych murów bije czar dawnej potęgi. W kościele zwróciliśmy przedewszystkiem uwagę na piękne ozdoby, charakterystyczny krzyż oddzielający ołtarz od nawy, ambonę w kształcie dzioba łodzi i inne piękne rzeźby i malowidła,

Wieczór się zbliżał. Wróciliśmy na pokład Gniezna i po chwili Tyniec znikł nam z oczu. Mgła rozciągała się nad Wisłą.....

W oddali przed nami zabłysły światła Krakowa.

3 lipca.

Wybrałem się do Sarn... Wyraz ten bardzo często odbijał się o me uszy. Ale tylko tyle... Zabrzmiało, przebrzmiało i basta.

Ranek był pochmurny, zraszany często deszczem; osikowy las, wzrosły na bagnie smętnie szumiał; prawdziwy poleski krajobraz. Pociąg żółwim krokiem sunął dalej. Tłukąc

głową o ścianę wagonu, zobojętniały już na wszystko, pogrążyłem się w błogim śnie. Zbudziłem się w momencie, gdy pociąg zatrzymywał się przed dworcem dość dużym i przyzwoitym, a kanduktor krzyknął „Sarny". Opuszam wygodny przedział cokolwiek z żałem, gdyż w tej chwili prześladujący mnie deszcz znów zaczął padać. Wszedłem do poczekalni. Dookoła pusto, tylko z za bufetu słychać sapanie śpiącj osoby, i jakieś zdaleka dolatujące odgłosy kłótni. Znalazłem się w niezbyt miłej sytuacji, gdyż deszcz nie przestawał padać i musiałem siedzieć na dworcu. Zaledwie deszcz przestał, ruszyłem do miasta. Jakież zdumienie ogarnęło mnie na widok tego miasta. Spodziewałem się czego innego a zobaczyłem coś zgoła nieoczekiwanego, gdyż dotychczas pojęcia nie miałem o prawdziwie poleskich miastach. Szerokie ulice źle brukowane, chodniki ograniczone do szerokiej deski, położonej w kierunku ulicy, po obu stronach malutkie drewniane domki, coprawda dość czyste—oto jak się zarysowywały Sarny. Za miastem rozpościerają się olbrzymie bagniste równiny, porosłe lasem, krzakami lub szuwarem, wywierające na podróżnym nieskończenie smutne wrażenie. Po godzinnem bezmyślnem łażeniu po ulicach, przyszedłem do wniosku, że sam nic ciekawego zobaczyć nie potrafię.

Udałem się przeto na poszukiwania koleżanki L. mieszkającej w Sarnach. Nie przyszło to coprawda bardzo łatwo, ale za to późnej lepiej się czułem w towarzystwie znajomej osoby.

Poświęciliśmy jeszcze kilka godzin na ponowne zwiedzenie miasta.

Na wesołej koleżenskiej rozmowie prędko zleciał czas. Przypominając Krzemieniec, nawet zapomiałem gdzie jestem i dopiero zegarek, nieodłączny mój przyjaciel dawał znaki, że nadchodzi chwila odjazdu. Musiałem pożegnać Sarny i jechać dalej.

C. D. N.



W. M.

Szlakiem kadrówki.

Jędrzejów dnia 7-go sierpnia 1927

Mija 13 lat od chwili, kiedy Brygadjer Józef Piłsudski wyruszył z Krakowa na czele I-szej brygady, aby z bronią w ręku upomnąć się o prawa Polski, ciemiężonej przez trzech zaborców. Droga prowadząca do Kielc zawiodła go do Miechowa, który był świadkiem nieszczęśliwego ostatniego powstania 1863 r. potem do Jędrzejowa. Pamiętam przybycie legjonistów do naszego miasta... Z rządowych gmachów padają dwugłowe orły moskiewskie, piętna naszej stuletniej niewoli, na bruk, pod nogi. Ulice usłane, niby śniegiem, papierami urzędowemi, w których niejeden zapisany jako „osoba podejrzana" miał jutro pójść na Sybir. Gdzieś na rynku wyrwała się ze zgiełku pieśń: „Jeszcze Polska nie zginęła", na głos której tchórzliwsi zaczęli się oglądać, czy gdzie nie widać strażnika.

Po opuszczeniu naszego miasta stoczyli legjoniści bitwę pod Brzegami nad Nidą i poszli do Kielc. Potem przelewali krew w bagnach poleskich, marzli w okopach wołyńskich, deptali obcą bukowińską ziemię aż po Rokitnę.

Dziś przybywają do naszego miasta strzelcy, którzy kroczą szlakiem Brygadjera z Krakowa do Kielc. Na ulicy Wodzisławskiej przy bramie ubranej zielenią oczekują tłumy na przybycie strzelców a orkiestra gra „I szą brygadę", witając poszczególne drużyny, przybywające jedne po drugich w nierównych odstępach czasu.

Co chwila na górzystej szosie ukazują się nowi. Na twarzach ich, spalonych od słońca widać zmęczenie. Przejść około 70 kilometrów z jednym tylko wypoczynkiem, w skwarny czas sierpniowy, to nie żart! A jednak nie widać wśród nich niechęci, owszem-radość, że dane im jest kroczyć szlakiem tych, którzy szli ku wolności naszej Ojczyzny. Przynajmniej w ten sposób mogą oddać cześć legjonom.

Przybyła ostatnia drużyna, strzelcy rozlokowawszy się po kwaterach, odpoczywają, gdyż jutro czeka ich dalsza wędrówka, której metą są Kielce.

8-sierpnia

Skoro świt, strzelcy byli już na nogach.

Na hasło wystrzału rzucają się do biegu, współzawodnicząc o czas przybycia do Kielc.

Gdy ostatnie mundury znikły za wzgórzem, zbudziła się we mnie myśl, którą za godzinę zamieniłem w czyn. Razem z kolegą pędziliśmy na rowerach szlakiem Kadrówki.

Początek drogi, jak zwykle, był dobry, ale nie długo to trwało. Wiatr, zmiatając kurz po drodze, zasypywał nas jego tumanami. Miejscami musieliśmy schodzić z rowerów i iść pieszo, bo wyjechać pod górę było niepodobna. Krajobraz stawał się coraz piękniejszy ale droga coraz gorsza. Roztaczały się już przed nami malownicze wzgórza chęcińskie. Uciążliwe wychodzenie pod górę nagradzała nam bardzo szybka jazda z góry. Czasem, bez poruszania nogami jechało się błyskawicznie około 3 kilometrów.

Niedaleko Chęcin, szalonej takiej jazdy o mało nie przypłaciłem życiem—dotąd się dziwię, jakim sposobem wyszedłem z tej przygody cało. Chcąc sobie wynagrodzić stratę czasu przy wychodzeniu pod górę, puściliśmy się ze stromej góry bez hamowania rowerów.

Gdy byliśmy w całym pędzie, ludzie, stojący przy szosie ostrzegali nas, krzycząc i gestykulując, że na zakręcie naprawiają przejazd na linji kolejowej. przechodzącej przez szosę. Chciałem zahamować rower ale przekonałem się, że hamulec jest zepsuty.. Zimno mnie przeszło. Nie było czasu do stracenia Starałem się wszelkiemi sposobami zwolnić bieg roweru, ale wszystko bezowocnie. Słyszę świst wiatru i wołanie kolegi, który pozostał daleko poza mną. Zdając się na łaskę losu, pragnąłem, aby jaknajprędzej dojechać... Już widzę naprawiany przejazd. Na drodze leżą powywalane belki i szyny żelazne. Słupy telegraficzne migają jeden po drugim. Otóż i przejazd... I rower potężnym susem przeskoczył przeszkodę. Ludzie pracujący przy naprawie przejazdu rozbiegli się na dwie strony. Odetchnąłem... Dojeżdża kolega, ze zdziwieniem i dziwnym uśmiechem spogląda na mnie. Jedziemy dalej. Minęliśmy już górę na szczycie której widnieją trzy potężne baszty zamkowe i jesteśmy w Chęcinach. Tu oczekująca orkiestra, myśląc że jesteśmy szpicą jakiejś spóźnionej drużyny strzeleckiej, rozkłada nuty do grania. Mijamy Chęciny, jadąc dalej.

Po drodze spotykamy już drużyny, lub osobno idących strzelców, którzy robią wrażenie rozbitków, czy też maruderów, wlokących się za głównym oddziałem. Z jedną drużyną idą nawet siostry miłosierdzia—strzelcy. Mijamy ich z politowaniem, czując się dobrze na rowerach. Ale „nie mów

hop, póki nie przeskoczysz". Parę kilometrów za Chęcinami pękła kiszka u roweru kolegi. Wszystkie klejenia bezskuteczne-wnet po krótkiej jeździe znów się psuje. Jedziemy, to znów idziemy naprzemian. Przebyliśmy w ten sposób kilka kilometrów, lecz gdy ukazał się kościół na Karczówce rower kolegi odmówił całkowicie posłuszeństwa, trzeba było iść. Nie chcąc rzucać kolegi w nieszczęściu, towarzyszyłem mu aż do samych Kielc, gdzie przybyliśmy po kilku wypoczynkach około południa, przebywszy 39 km. drogi.

Spóźniliśmy się. Już dawno pierwszy strzelec-zwycięzca dobiegł do bramy przy szosie krakowskiej, ubranej w zielone wieńce i wstęgi. Przybyli strzelcy odpoczywali w parku. Liczba ich powiększała się co pewien czas, z przybyciem dalszych drużyn.

Widziałem strzelców, którzy ledwo się wlekli ze zmęczenia a jednak nie myśleli o spoczynku, dopóki nie przekroczyli bramy, bo tu był cel, nakreślony przez nich. Niektórzy przeszedłszy linję mety padali na ziemię zemdleni, ale już u celu. Oto hart polskiego strzelca—żołnierza!

Po krótkim wypoczynku w cieniu drzew czysto utrzymanego parku, w którym zwraca uwagę pomnik Stanisława Staszica, chcąc wykorzystać czas, zwiedziliśmy katedrę, ufundowaną przez biskupa krakowskiego Gedeona w 1174 r. będącą początkowo kolegjatą. Przy katedrze znajduje się dzwonnica, zbudowana przez biskupa Tomickiego w 1527 r. Zwraca tu uwagę popiersie Kościuszki, wmurowane w ścianę dzwonnicy od strony placu Panny Marji.

Z kolei zwiedziliśmy budujący się i prawie już wykończony kościół pod wezwaniem Swiętego Krzyża. Kościół ten odznacza się pięknym gotyckim stylem. Chcieliśmy zwiedzić muzeum krajoznawcze, lecz lokal był zamknięty.

Po południu odbyły się popisy chórów i orkiestr strzeleckich w sali kina „Palace" O godz. 5 p p. nastąpiło uroczyste wręczenie nagród zawodnikom na placu Panny Marji. W czasie tej uroczystości przemawiali do zawodników: ś. p. wojewoda kielecki Ignacy Mantenffel i prezes związków strzeleckich.

Trzeba było powracać, gdyż słońce już zniżało się ku zachodowi, a myśmy chcieli być jeszcze tego dnia w domu. Do Chęcin przybyliśmy bez przygód, gdyż poprzednio naprawiliśmy nasze strajkujące rowery. Znalazłszy się na rynku miałem przez chwilę wrażenie iż znajduję się w Krze-

mieńcu. Góra uwieńczona potężnemi basztami przypominała mi żywo górę Bony Zamek chęciński a raczej jego ruiny. dzięki wyniosłości góry, na której się znajduje, widziany jest z południa daleko. Pięknie on się przedstawia z pól falistych, okolic Jędrzejowa. Na tle widniejących w oddali gór Świętokrzyskich dumne baszty zamku przypominają niezdobyty zaklęty zamek z bajki. Niżej nieco, na wschód, widać różnokolorowe płaty pól, które razem podobne są do połatanego płaszcza, nakrywającego jakiegoś śpiącego olbrzyma, który złożył głowę aż gdzieś w górach Swiętokrzyskich. Dla ludu z okolic Jędrzejowa zamek chęciński jest wyrocznią pogody. Jeżeli widać go we mgle niewyraźnie, należy spodziewać się deszczu, gdy zaś rysuje się wyraźnie w słonecznych blaskach, będzie piękna pogoda. Zamek zbudowany na szczycie wyniosłej góry sięga zamierzchłych czasów. Istniał on już za Chrobrego. Władysław Łokietek zwołał tu wielki wiec w r. 1331 z którego szlachta udała się be bezpośrednio na Krzyżaków. W zamku tym długo mieszkała Elżbieta, siostra Kazimierza Wielkiego, sprawując rządy za syna swego Ludwika węgierskiego. Tutaj schronił się przed grasującą zarazą przyszły król Wł. Warneńczyk. Jan Olbracht nadał w r. 1494 tutejszym górnikam prawo, jakie posiadali górnicy olkuscy, zaś Zygmunt I. potwierdził je w r. 1525. Królowa Bona przed wyjazdem z Polski przechowywała w nim swoje skarby. Od r. 1764 Chęciny stają się drugiem miejscem sądów ziemskich radomskich. Z czasem zamek przeznaczono na więzienie dla znaczniejszych osób, potem na mieszkanie dla starostów grodowych, od chwili, gdy utworzone zostało chęcińskie starostwo grodowe, które w r. 1771 było w posiadaniu Ignacego Załuskiego a w r. 1775 zostało nadane Bog. Załuskiemu. Kres zamkowi chęcińskiemu położyły wojny swedzkie. Od r. 1707 coraz bardziej podupada. Do dzisiejszych czasów dochowały się 3 potężne baszty i szczątki murów. Oprócz zamku godnym uwagi jest Kościół pofranciszkański, zbudowany przez Kazimierza Wielkiego w r. 1338 potem zamieniony na więzienie. Kościół parafjalny w XIV w stylu gotyckim posiada piękny ołtarz, rzeźbiony z marmuru który znajduje się w okolicach Chęcin w różnych odcieniach. Okolice tutujsze się bardzo malownicze, dzięki licznym wzgórzom, ale zato ludność jest biedna, gdyż ziemia kamienista i nieurodzajna nadaje się tylko pod ziemniaki a w mniejszym stopniu pod żyto. Ziemniaki stanowią tutaj główny

produkt pożywienia. Na rynku spotkaliśmy kobiety, sprzedające jagody, w pasiastych zapaskach, zwanych „burczochami“. Większość mieszkańcòw Chęcin stanowią Żydzi, to też stan sanitarny tego miasteczka jest opłakany. Wydostawszy się z otaczającego nas pierścienia żydów, którzy kłócili się między sobą o wartośc naszych rowerów, pędziliśmy falistą drogą. Na chwilę zatrzymaliśmy się w Brzegach, wsi położonej nad Nidą. Tutaj stoczył zwycięską bitwę Józef Piłsudski, kroczący na czele legjonistów do Kielc dn. 6 sierpnia 1914 r. Wieś ta jest bardzo stara. Wspomina o niej historja. Należała ona w roku 1629 do starostwa grodowego chęcińskiego, zaś w r. 1775 została oddana Wojciechowi Kluszewskiemu.

Po pewnym czasie ujrzeliśmy ze wzgórza siniejącą wieżę naszego jędrzejowskiego kościoła parafjalnego. Za chwilę syci wrażeń i zadowoleni otrzepywaliśmy pył podróżny w domowych progach.

Wydawca: Kółko krajoznawcze Młodzieży Liceum Krzemienieckiego, pozostające pod opieką p. prof. Mieczysława Woźnowskiego.
Redaktorzy: Włodzimierz Danilczuk i Władysław Mróz.
Administratorzy: W. Danilczuk i J. Diksztejn.